Autor LINII KRWI i OKA BOGA

JAMES ROLLINS

SZÓSTA APOKALIPSA

27 grudnia 1832
Na pokładzie HMS *Beagle*

Należało liczyć się z tym, że poleje się krew...

Charles Darwin wpatrywał się w słowa, które nagryzmolił czarnym atramentem na białych kartach swojego dziennika, ale widział tylko szkarłat. Mimo żaru piecyka w niewielkiej kajucie drżał z zimna, które przenikało go do szpiku kości; obawiał się, że nigdy się nie rozgrzeje. Odmówił bezgłośnie modlitwę, przypominając sobie, jak ojciec nalegał, by został księdzem, gdy zrezygnował ze studiów medycznych.

Może powinienem był go posłuchać.

Skusił go jednak zew dalekich lądów i nowych odkryć naukowych. Niemal dokładnie przed rokiem zatrudniono go jako przyrodnika na pokładzie statku HMS *Beagle*. W wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat gotów był zdobywać sławę i zwiedzać świat. W taki to sposób znalazł się, z krwią na rękach, w tym miejscu.

Rozejrzał się po kajucie. Gdy zjawił się pierwszy raz na statku, został zakwaterowany w kabinie z mapami, ciasnym pomieszczeniu z dużym stołem na środku, w którego blacie tkwił pień bezanmasztu. Wykorzystywał każdy centymetr wolnej przestrzeni – szafki, półki, nawet umywalkę – jako miejsce do pracy i tymczasowe muzeum z kolekcją zgromadzonych eksponatów i próbek. Miał tam kości i skamieliny, zęby i muszle, a nawet wypchane lub zakonserwowane okazy rzadkich węży, jaszczurek i ptaków. W pobliżu jego łokcia

spoczywała tablica z przyszpilonymi chrząszczami monstrualnych rozmiarów, o rogach wydatnych jak u afrykańskich nosorożców. Obok kałamarza stał rząd słoików z zasuszonymi roślinami i nasionami.

Spoglądał z rozpaczą na swoją kolekcję, którą pozbawiony wyobraźni kapitan FitzRoy nazywał bezużyteczną kupą śmieci.

Może powinienem był przesłać to wszystko do Anglii, zanim *Beagle* opuścił Ziemię Ognistą...

Ale niestety, podobnie jak resztę załogi statku, zafascynowały go historie, które opowiadali dzicy mieszkańcy archipelagu, tubylcy z plemienia Jagan. Legendy o potworach, bogach i niewyobrażalnych cudach. To z powodu tych opowieści *Beagle* zboczył z kursu i popłynął poza kraniec Ameryki Południowej, przez skute lodem morza, do zamarzniętego świata u dołu Ziemi.

– *Terra Australis Incognita* – mruknął do siebie.

Ponurej sławy Nieznany Południowy Ląd.

Przesunął mapę leżącą na zagraconym biurku. Kapitan FitzRoy pokazał mu ją dziewięć dni temu, wkrótce po ich przybyciu na Ziemię Ognistą. Była to francuska mapa z 1583 roku.

Przedstawiała niezbadany kontynent na południowym biegunie globu. Była ewidentnie niedokładna, nie uwzględniała nawet faktu, że współczesny jej autorowi sir Francis Drake odkrył już lodowate morza oddzielające Amerykę Południową od tego nieznanego lądu. Choć jednak od wyrysowania tej mapy minęły dwa stulecia, nieprzyjazny kontynent nadal stanowił zagadkę. Nawet zarysy jego wybrzeży pozostawały tajemnicą.

Czy można się więc dziwić, że jeden z tubylców, kościsty starzec, który zaraz po przybyciu statku do Ziemi Ognistej podarował załodze zdumiewający prezent, rozpalił natychmiast ich wyobraźnię? *Beagle* zacumował w pobliżu Woolya Cove, gdzie wielebny Richard Matthews założył misję i nawracał dzikusów oraz uczył ich podstaw angielskiego. I choć starzec, który ofiarował im prezent, nie mówił królewskim językiem, jego dar nie wymagał słów.

Była to prymitywna mapa, narysowana na kawałku wybielonej foczej skóry, przedstawiająca wybrzeże owego kontynentu na południu. Już sama w sobie wystarczająco wszystkich zaintrygowała, ale historie, jakie się z nią wiązały, wzmogły jeszcze ich zainteresowanie.

Jeden z tubylców – ochrzczony jako Jemmy Button – opowiedział przybyszom dzieje plemienia Jagan. Twierdził, że lud ten mieszka na wyspach archipelagu od ponad siedmiu tysięcy lat – tak zdumiewająco długo, że trudno było w to uwierzyć. Co więcej, Jemmy wychwalał umiejętności żeglarskie członków swojego plemienia, co budziło mniej wątpliwości, gdyż Charles zauważył w zatoce kilka ich dużych łodzi. Były prymitywne, ale najwyraźniej zdatne do żeglugi.

Jemmy wyjaśnił, że mapa jest rezultatem tysięcy lat badania przez Jaganów wielkiego kontynentu na południu; była przekazywana z pokolenia na pokolenie, doskonalona i rysowana na nowo w ciągu stuleci, w miarę jak zdobywano coraz więcej wiedzy o tajemniczym lądzie. Opowiedział im również o tym zagubionym kontynencie, wielkich bestiach i dziwnych skarbach,

płonących górach i obszarach bezkresnego lodu.

Charles przypomniał sobie w tym momencie najbardziej zdumiewające stwierdzenie Jemmy'ego. Zapisał w swoim dzienniku jego słowa, które brzmiały mu w uszach: *Nasi przodkowie mówią, że w zamierzchłych czasach dolin i gór nie pokrywał lód. Rosły tam wysokie drzewa i polowano na zwierzynę, a w ciemnościach straszyły demony gotowe pożerać serca nieroztropnych...*

Na górnym pokładzie rozległ się tak przeraźliwy wrzask, że Charles zabazgrał atramentem resztę kartki papieru. Zdusił przekleństwo, bo zdał sobie sprawę, że w tym krótkim krzyku brzmiał strach i ból. Zerwał się na nogi.

Ostatni członek załogi musiał powrócić z tego koszmarnego brzegu.

Pozostawiając dziennik i pióro, Charles pospieszył do drzwi kajuty, a potem krótkim korytarzem na pogrążony w chaosie górny pokład.

– Ostrożnie z nim! – krzyknął kapitan FitzRoy. Stał przy relingu sterburty w rozpiętym płaszczu, z czerwonymi policzkami i oszronioną ciemną brodą.

Charles zmrużył oczy przed oślepiającym blaskiem letniego słońca południowej półkuli. Przenikliwie zimne powietrze zmroziło mu nos i wypełniło płuca. Lodowata mgła spowijała czarne morze wokół zakotwiczonego statku, relingi i takielunek pokrywał szron. Z ust spanikowanych członków załogi buchały białe kłęby pary, gdy z wysiłkiem wykonywali rozkazy kapitana.

Charles pospieszył na sterburtę, by pomóc wydobyć z szalupy rannego marynarza. Mężczyznę zawinięto od stóp do głów w płótno żeglarskie i wciągano na linach. Głośno jęczał. Charles pomógł przenieść biedaka przez reling na pokład.

Był to bosman, Robert Rensfry.

FitzRoy wzywał lekarza, ale ten opatrywał pod pokładem dwóch mężczyzn, którzy uczestniczyli w pierwszej eskapadzie na ląd. Obaj byli tak poważnie ranni, że nie mieli szansy dożyć następnego dnia.

A co z tym człowiekiem?

Charles uklęknął przy nim. Inni wygramolili się z szalupy. Jako ostatni pojawił się Jemmy Button, blady i zagniewany. Próbował ich ostrzec, aby tu nie przypływali, ale jego obawy zlekceważono jako przesądy tubylców.

– Gotowe? – spytał FitzRoy swego zastępcę, pomagając Jemmy'emu wejść na pokład.

– Tak, kapitanie. Wszystkie trzy beczki czarnego prochu. Pozostawione przy wejściu.

– Dobra robota. Gdy zabezpieczycie szalupę, obróćcie statek i przygotujcie działa na lewej burcie. – FitzRoy zwrócił zatroskane spojrzenie na rannego marynarza, przy którym klęczał Charles. – Gdzie ten cholerny Bynoe?

Jakby przynaglony tymi słowami, wychudzony lekarz, Benjamin Bynoe, wyłonił się spod pokładu i pospieszył w ich kierunku. Miał zakrwawione ręce i fartuch.

Charles dostrzegł milczącą wymianę spojrzeń między kapitanem i lekarzem. Bynoe dwukrotnie pokręcił głową.

Dwaj pozostali mężczyźni z pewnością zmarli.

Charles wstał i ustąpił miejsca lekarzowi.

– Rozwińcie to płótno! – polecił Bynoe. – Muszę zobaczyć jego rany!

Charles podszedł do relingu i stanął przy FitzRoyu. Kapitan z lunetą w dłoni w milczeniu wpatrywał się w ląd. Gdy ranny mężczyzna zaczął głośniej jęczeć, FitzRoy podał lunetę Charlesowi.

Ten wziął ją do ręki i – choć z pewnym wysiłkiem – zobaczył pobliski brzeg. Wąską zatokę, w której kotwiczyli, otaczały ściany błękitnego lodu. W miejscu, gdzie mgła była najgęściejsza, przesłaniała wybrzeże, ale nie przypominała lodowatych oparów, które spowijały morze i góry lodowe. Były to wyziewy siarki, oddech Hadesu, dobywający się z lądu równie cudownego, jak potwornego.

Podmuch wiatru poprawił na chwilę widoczność i ukazała się

kaskada krwi spadająca z lodowatego klifu. Spływała szkarłatnymi strugami i strumykami, sącząc się jakby z piekielnych czeluści pod lodową powierzchnią.

Charles wiedział, że nie jest to krew, tylko jakaś mikstura substancji chemicznych i minerałów, wydobywająca się z podziemnych tuneli.

Trzeba było jednak zważać na tę złowróżbną przestrogę, pomyślał. Nie powinniśmy byli nigdy wchodzić do tego tunelu.

Skierował lunetę na wejście do jaskini i dostrzegał stojące tam trzy zatłuszczone beczki. Mimo wszystkich przeżytych ostatnio koszmarów, które zagrażały zdrowiu psychicznemu, pozostał naukowcem, poszukiwaczem wiedzy i choć powinien może protestować przeciw temu, co miało nastąpić, zachowywał milczenie.

Jemmy dołączył do niego; szeptał coś pod nosem w swoim języku – najwyraźniej uciekał się do pogańskich modłów. Nawrócony dzikus z Ziemi Ognistej sięgał Charlesowi zaledwie do piersi, ale emanował siłą woli, która kontrastowała z jego drobną sylwetką. Wielokrotnie próbował ostrzec załogę statku, ale nikt go nie słuchał. Mimo wszystko pozostał wierny Anglikom i towarzyszył im, gdy głupio zmierzali do zguby.

Charles poczuł pod palcami ciemną dłoń zaciśniętą na relingu. Pycha i chciwość załogi kosztowały życie nie tylko ich własnych ludzi, ale także jednego z członków plemienia Jemmy'ego.

Nie powinniśmy byli nigdy tu przypływać.

A jednak podjęli tę głupią decyzję; pozwolili sobie zboczyć z planowanego kursu na południe z powodu szalonych opowieści o zaginionym kontynencie. Najbardziej skusił ich jednak symbol znaleziony na starej mapie mieszkańców Ziemi Ognistej. Wokół zatoki narysowano tam drzewa, obietnicę życia. Zamierzając odkryć ten raj zagubiony wśród lodowatych wybrzeży, załoga *Beagle'a* wyruszyła w rejs z nadzieją zdobycia nowych dziewiczych obszarów dla Korony.

Zbyt późno zrozumieli prawdziwe znaczenie symboli na mapie.

W końcu cała wyprawa zakończyła się koszmarem i rozlewem krwi i należało koniecznie, za zgodą wszystkich, na zawsze o niej zapomnieć.

Nikomu nie wolno tu wrócić, pomyślał Charles.

A gdyby ktokolwiek się odważył, kapitan zamierzał zadbać o to, by niczego już nie odnalazł. Świat nie może się dowiedzieć, co tam ukryto.

Podniósłszy kotwicę, statek obrócił się powoli, skrzypiąc zlodowaciałym takielunkiem i sypiąc szronem z żagli. FitzRoy oddalił się już w kierunku baterii dział. HMS *Beagle* był należącym do Królewskiej Marynarki żaglowcem typu Cherokee, wyposażonym pierwotnie w dziesięć dział. I choć przerobiono go z okrętu wojennego w statek badawczy, część dział pozostała.

Kolejny krzyk sprawił, że Charles zwrócił znów uwagę na pokład, na którym wił się z bólu leżący na żeglarskim płótnie marynarz.

– Przytrzymajcie go! – krzyknął lekarz okrętowy.

Charles ruszył mu z pomocą i dołączył do innych, którzy chwycili Rensfry'ego za ramię i starali się go unieruchomić. Gdy nieopatrznie spojrzał bosmanowi w oczy, odczytał w nich ból i błaganie.

Bosman poruszył wargami i jęknął: „...wyciągnijcie to...".

Lekarz zdołał zdjąć z niego ciężki płaszcz i rozciął mu nożem koszulę, odsłaniając zakrwawiony brzuch i ranę wielkości pięści. Charles zobaczył, że coś przesuwa się bosmanowi pod skórą, jak wąż pod powierzchnią piasku.

Rensfry stawiał im opór, wyprężając się z bólu. Zacharczał rozpaczliwie przez zaciśnięte gardło:

– Wyciągnijcie to!

Bynoe nie wahał się. Wsunął rękę do rany, w pulsujące trzewia mężczyzny. Zagłębił ją w brzuchu aż po łokieć. Mimo lodowatego zimna po twarzy spływały mu krople potu.

Statkiem wstrząsnął głośny huk, obsypując ich znowu szronem.

Potem następny i jeszcze jeden.

W oddali odbiła się echem od lądu o wiele głośniejsza eksplozja.

Po obu stronach zatoki odrywały się od brzegu potężne bryły lodu i roztrzaskiwały się w morzu. Działa okrętu siały zniszczenie, ziejąc ogniem.

Kapitan FitzRoy wolał nie ryzykować.

– Za późno – oznajmił w końcu Bynoe, wyciągając rękę z rany. – Spóźniliśmy się.

Charles zauważył dopiero teraz, że ciało bosmana jest bezwładne, a martwe oczy wpatrują się w błękitne niebo.

Cofnąwszy się, przypomniał sobie słowa Jemmy'ego na temat tego przeklętego kontynentu: *Demony nawiedzały również jego mroczne czeluście, gotowe pożerać serca żyjących...*

– Co ze zwłokami? – spytał jeden z marynarzy.

Bynoe spojrzał w kierunku relingu, na wzburzone, skute lodem morze.

– Pochowajcie go tutaj, razem z tym, co w nim siedzi.

Charles miał już dość. Gdy inni wśród ryku morza i huku dział dźwignęli ciało Rensfry'ego, wymknął się jak tchórz do swojej kajuty i nie był świadkiem marynarskiego pogrzebu bosmana.

Niewielki ogień w piecyku w jego kajucie niemal już wygasł, ale wszedłszy z mrozu do ciepłego pomieszczenia, Charles poczuł, że traci oddech. Wziął do ręki swój dziennik, wyrwał zapisane kartki i wrzucił je w nikłe płomienie. Patrzył, jak się skręcają, czernieją i zamieniają w popiół.

Dopiero wtedy wrócił do leżących na stole map. Podniósł tę najstarszą, która pochodziła od tubylców z Ziemi Ognistej, i przyjrzał się ponownie przeklętemu rysunkowi drzew wokół zatoki. Jego wzrok powędrował do świeżo podsyconych płomieni.

Podszedł krok w kierunku paleniska, po czym przystanął.

Zwinął mapę zziębniętymi palcami i zacisnął ją mocno w obu dłoniach.

Nadal jestem naukowcem.

Z ciężkim sercem odwrócił się od ognia i ukrył mapę wśród rzeczy osobistych. Przedtem jednak przemknęły mu przez myśl mało naukowe słowa.

Boże, pomóż mi...

1

Jezioro Mono, Kalifornia
27 kwietnia, godz. 18.55 czasu miejscowego

– Wygląda jak powierzchnia Marsa.

Jenna Beck uśmiechnęła się do siebie, słysząc z ust kolejnego turysty ten najbardziej typowy opis jeziora Mono. Gdy ostatnia już tego dnia grupa zwiedzających kończyła robić zdjęcia, czekała obok swojego białego forda pic-kupa F-150, z wymalowaną na przednich drzwiach gwiazdą Służby Leśnej Stanu Kalifornia.

Opuściła sztywne rondo kapelusza i spojrzała w kierunku słońca. Choć do zmierzchu brakowało godziny, padające ukośnie światło zmieniło jezioro w perłowe lustro o błękitno-zielonych barwach. Strzeliste, poszarpane stalagmity z wapienia, zwane tufami, wyglądały jak skamieniały las porastający południowy brzeg i wchodzący w głąb wody.

Był to rzeczywiście nieziemski krajobraz – ale stanowczo nie przypominał Marsa. Klepnęła się po ramieniu, zabijając komara, który stanowił dowód, że nawet w tym jałowym środowisku kwitnie życie.

Na odgłos klepnięcia przewodniczka grupy – starsza kobieta o imieniu Hattie – spojrzała w jej kierunku, uśmiechając się życzliwie. Pochodziła z ludu Kutzadika, północnego plemienia Pajutów. Była po siedemdziesiątce i wiedziała o jeziorze i jego historii więcej niż

ktokolwiek w okolicy.

– To jezioro – zwróciła się do turystów – ma podobno siedemset sześćdziesiąt tysięcy lat, ale niektórzy naukowcy uważają, że może mieć nawet trzy miliony, co by oznaczało, że jest jednym z najstarszych w Stanach. Przy powierzchni stu osiemdziesięciu kilometrów kwadratowych jego głębokość nie przekracza trzydziestu metrów. Zasila je kilka bulgocących źródeł i strumieni, ale nie ma żadnego odpływu, woda jedynie odparowuje w upalne letnie dni. To dlatego jezioro jest trzykrotnie bardziej słone niż ocean i ma współczynnik pH dziesięć, mniej więcej jak domowy ług.

Hiszpański turysta skrzywił się i zapytał łamaną angielszczyzną:

– Czy w tym *lago*... w tym jeziorze... cokolwiek żyje?

– Nie ryby, jeśli to ma pan na myśli, ale, owszem, istnieje tu życie. – Hattie skinęła na Jennę, bo tego typu wiedza była jej specjalnością.

Jenna odchrząknęła i przeszła między kilkunastoma turystami. Połowa z nich była Amerykanami, a druga – Europejczykami. Jezioro, usytuowane między Parkiem Narodowym Yosemite i wymarłymi miastami Stanowego Parku Historycznego w Bodie, przyciągało zdumiewająco wielu cudzoziemców.

– Życie zawsze znajdzie sposób, by wypełnić każdą niszę w środowisku – zaczęła Jenna. – I jezioro Mono nie jest wyjątkiem. Mimo dużej zawartości szkodliwych chlorków, siarczanów i arszeniku, ma bardzo bogaty i złożony ekosystem, który staramy się zachować, poddając go ochronie.

Uklęknęła na brzegu.

– Życie w jeziorze pojawia się zimą, gdy wyrastają w nim unikatowe, odporne na solankę algi. Gdybyście przyjechali tutaj w marcu, zobaczylibyście wodę w kolorze zielonego groszku.

– Dlaczego teraz nie jest zielona? – spytał młody ojciec, kładąc rękę na ramieniu córki.

– Z powodu artemii, żyjących tu skorupiaków. Są niewiele większe od ziarenka ryżu i pożerają wszystkie algi. Nimi z kolei

żywi się inny zadomowiony w jeziorze łowca.

Klęcząc nadal na skraju wody, pomachała ręką nad powierzchnią i w powietrze wzniósł się brzęczący obłok rozdrażnionych meszek.

– Wstrętne – rzucił nadęty rudy nastolatek, podchodząc bliżej, by im się przyjrzeć.

– Nie obawiaj się. Nie gryzą. – Jenna przywołała gestem innego chłopca, ośmio-, może dziewięcioletniego. – To pomysłowi mali łowcy. Zobacz.

Chłopiec podszedł do niej nieśmiało, a za nim jego rodzice i inni turyści. Poklepała ręką ziemię obok siebie, zachęcając go, by przykucnął, po czym wskazała na mieliznę, gdzie płynęło pod wodą kilka meszek, otoczonych srebrnymi banieczkami powietrza.

– Wyglądają jak nurkowie! – zawołał chłopiec z szerokim uśmiechem.

Jenna odwzajemniła uśmiech, doceniając dziecięcy zachwyt nad prostym cudem natury. Był to jeden z najprzyjemniejszych aspektów jej pracy: dzielenie radości i zdumienia innych.

– Jak powiedziałam, to pomysłowi mali łowcy. – Wstała i odsunęła się na bok, by pozostali mogli popatrzeć. – A te artemie i meszki stanowią pożywienie dla setek tysięcy jaskółek, perkozów, żurawi i mew, które tędy przelatują. – Wskazała na dalszy odcinek wybrzeża. – Jeśli tam spojrzycie, zobaczycie na tym wysokim tufie nawet gniazdo rybołowa.

Cofnęła się i turyści zrobili kolejne zdjęcia.

Gdyby chciała, mogłaby dalej opowiadać o unikalnej pajęczynie życia jeziora Mono. Wspomniała tylko powierzchownie o dziwnym i złożonym ekosystemie tego alkalicznego zbiornika. Można tam było znaleźć wszelkie dziwne gatunki i formy adaptacji, zwłaszcza w błotnistym dnie jeziora, gdzie mało znane bakterie rozwijały się w warunkach sprzecznych z logiką, w mule tak toksycznym i pozbawionym tlenu, że nic w nim nie miało prawa przeżyć.

A jednak żyło.

Życie zawsze znajdzie sposób.

Choć był to cytat z *Parku Jurajskiego*, takie przekonanie wpoił również Jennie jej profesor biologii na Politechnice w Kalifornii. Zamierzała pisać doktorat z ekologii, ale okazało się, że bardziej pociąga ją praca w Parku Narodowym, przebywanie na powietrzu i aktywny udział w chronieniu tej kruchej pajęczyny życia, która z każdym mijającym rokiem coraz bardziej się strzępiła.

Wróciła do swego pick-upa, oparła się o drzwi i czekała, aż Hattie z grupą pojadą autobusem do sąsiedniej wioski Lee Vining, a ona ruszy za nimi pick-upem. Wyobrażała już sobie porcję żeberek z grilla serwowanych w lokalnej knajpce Bodie Mike's.

Poczuła na karku mokry jęzor. Sięgnęła ręką za siebie i podrapała Nikka za uchem. Najwyraźniej nie tylko ona zgłodniała.

– Już prawie skończyliśmy, mały.

Odpowiedziało jej merdanie ogona. Czteroletni husky był jej stałym towarzyszem, wyszkolonym w akcjach poszukiwawczych i ratunkowych. Wysunąwszy łeb przez otwarte okno, oparł pysk na jej ramieniu i ciężko westchnął. Jego ślepia – jedno bladoniebieskie, a drugie brązowe – patrzyły tęsknie w kierunku rozległych wzgórz. Hattie powiedziała kiedyś Jennie, że według legend amerykańskich Indian psy o oczach różnego koloru widzą zarówno niebo, jak i ziemię.

Bez względu na to, czy tak było, wzrok Nikka pozostał w tym momencie bardziej przy ziemi. Przez suche zarośla na pobliskim zboczu przebiegł zając, i pies zerwał się na nogi w kabinie samochodu.

Jenna uśmiechnęła się, gdy zając zniknął szybko w półmroku.

– Następnym razem, Nikko. Dopadniesz go następnym razem.

Chociaż husky był wyszkolony, miał nadal naturę psa.

Hattie zebrała grupę turystów i wyłapując po drodze maruderów, prowadziła ich do autokaru.

– I Indianie jadali larwy tych owadów? – spytał rudy nastolatek.

– Nazywaliśmy je *kutsavi*. Kobiety i dzieci zbierały poczwarki ze skał do plecionych koszy, a potem je piekły. Robią tak nadal

przy specjalnych okazjach. To rzadki przysmak.

Mrugnęła do Jenny, przechodząc obok niej.

Ta stłumiła uśmiech na widok odrazy na twarzy chłopca. Przekazywanie takich szczegółów na temat lokalnego życia pozostawiała Hattie.

Gdy załadowano wszystkich do autokaru, Jenna otworzyła drzwi pick-upa i zajęła miejsce obok Nikka. Zaledwie się usadowiła, radio głośno zatrzeszczało.

Co znowu? – pomyślała.

Wzięła do ręki nadajnik.

– Co się dzieje, Bill?

Bill Howard był dyspozytorem i jej przyjacielem. Miał po sześćdziesiątce, ale gdy przed trzema laty zaczęła pracę, otoczył ją opieką. Teraz miała dwadzieścia cztery lata i w wolnym czasie, którego tak niewiele zostawało, zrobiła licencjat z ochrony środowiska. Brakowało im personelu i byli przepracowani, ale w ciągu tych kilku lat przywiązała się do jeziora, zwierząt, a nawet kolegów leśników.

– Nie wiem dokładnie, co się dzieje, Jen, ale miałem nadzieję, że będziesz mogła pojechać na północ. Służby ratownicze powiadomiły nasze biuro, że ktoś wzywał pomocy.

– Podaj mi szczegóły. – Leśnicy nie tylko opiekowali się parkiem, byli również zaprzysiężonymi funkcjonariuszami policji. Mieli szeroki zakres obowiązków, od prowadzenia śledztwa po udzielanie pomocy medycznej.

– Dzwoniono zza Bodie – wyjaśnił Bill.

Uniosła brwi. Za Bodie niczego nie było, z wyjątkiem kilku wymarłych miasteczek z czasów gorączki złota i paru opuszczonych kopalń. No i...

– Z tej bazy wojskowej – potwierdził Bill.

Cholera!

– Czego dotyczył ten telefon?

– Przesłuchałem nagranie. Słychać było tylko krzyki. Nie dało

się zrozumieć ani słowa. Potem połączenie zostało przerwane.

– Więc może nic się nie stało.

– Właśnie. To mógł być omyłkowy telefon, ale ktoś powinien podjechać przynajmniej do bramy i sprawdzić, co się tam dzieje.

– I zdaje się, że to muszę być ja.

– Tony i Kate są w pobliżu Yosemite. Wezwano ich do jakiegoś pijaka.

– W porządku, Bill, zajmę się tym. Odezwę się przez radio, kiedy będę przy bramie bazy. Daj znać, gdybyś dowiedział się czegoś więcej.

Dyspozytor potwierdził i wyłączył się.

– Zdaje się, że żeberka będą musiały zaczekać, wielkoludzie – zwróciła się do Nikka.

Godzina 19.24

– Szybciej!

Doktor Kendall Hess pędził po schodach cztery kondygnacje pod ziemią, a tuż za nim biegła Irene McIntire, jego analityk systemowy. Na każdym półpiętrze pulsowały czerwone światła alarmowe. W całym kompleksie wyły syreny.

– Utraciliśmy poziomy bezpieczeństwa cztery i pięć – oznajmiła zdyszana za jego plecami, monitorując na podręcznym bioczytniku sytuację na dole.

Ale krzyki, które słyszeli za sobą, wystarczały, by wiedzieli, że zagrożenie nadciąga.

– Musi już być w przewodach wentylacyjnych – powiedziała Irene.

– Jak to możliwe?

Pytanie było retoryczne, ale odpowiedziała na nie.

– Niemożliwe. Chyba że popełniono ogromny błąd w laboratorium. Ale sprawdziłam...

– To nie był błąd laboratoryjny – wyrzucił z siebie Kendall Hess ostrzejszym tonem, niż zamierzał.

Znał bardziej prawdopodobną przyczynę.

Sabotaż.

Zawiodło zbyt wiele zabezpieczeń – elektronicznych i biologicznych – by mógł to być przypadek. Ktoś celowo spowodował tę awarię.

– Co możemy zrobić? – jęknęła Irene.

Pozostało im tylko jedno wyjście: całkowite wyłączenie systemu, wygaszenie ognia ogniem. Ale czy nie wyrządzi to jeszcze większych szkód? Nasłuchując dochodzących z dołu stłumionych krzyków, otrzymał odpowiedź.

Dotarli na najwyższe piętro. Nie wiedząc, co ich czeka – zwłaszcza jeśli nie mylił się co do sabotażu – powstrzymał Irene, dotykając jej ramienia. Miała już pęcherze na wierzchu dłoni i na szyi.

– Musisz dotrzeć do radia. Wezwij pomoc. Na wypadek gdyby mnie się nie udało.

Niech mi Bóg pomoże, jeślibym stracił zimną krew, pomyślał.

Skinęła głową, starając się nie okazywać bólu. To, o co ją prosił, przypłaci zapewne życiem.

– Spróbuję – odparła przerażona.

Przepełniony żalem, otworzył na oścież drzwi i wypchnął ją w kierunku pokoju radiooperatora.

– Biegnij!

Godzina 19.43

Pick-up podskoczył gwałtownie, zjeżdżając z asfaltowej drogi na żwirową nawierzchnię.

Wciskając mocno pedał gazu, Jenna dojechała w ciągu niecałych dwudziestu minut od jeziora Mono do położonego na wysokości

dwóch i pół tysiąca metrów Stanowego Parku Historycznego w Bodie. Ale nie on był jej celem. Musiała się dostać jeszcze wyżej, w bardziej odległe miejsce.

Jechała mroczną drogą po wertepach, widząc na horyzoncie poświatę zachodzącego słońca. Żwir uderzał o nadkola samochodu. Poza stróżami prawa tylko garstka ludzi wiedziała o istnieniu tej bazy wojskowej. Zbudowano ją pospiesznie i w tajemnicy. Nawet materiały budowlane i personel dostarczano wojskowymi śmigłowcami, a wszystkie prace wykonywali kontrahenci Departamentu Obrony.

A jednak nie powstrzymało to wycieku pewnych informacji.

Baza, należąca do amerykańskiego Dowództwa Badań Testowych, była w jakiś sposób powiązana z poligonem doświadczalnym w pobliżu Salt Lake City. Jenna sprawdziła to miejsce w internecie i nie podobało jej się to, co tam znalazła. Był to poligon do testowania broni nuklearnej, biologicznej i chemicznej. W latach sześćdziesiątych z powodu wycieku śmiercionośnego gazu paraliżującego wyginęły w pobliżu tysiące owiec. Od tamtego czasu baza coraz bardziej się rozrastała. Zajmowała teraz czterysta tysięcy hektarów, dwukrotnie więcej niż Los Angeles.

Po co zbudowano ją na takim odludziu?

Snuto, oczywiście, różne spekulacje: że wojskowi naukowcy potrzebowali głębokich szybów znajdujących się tam nieczynnych już kopalń, że ich badania były zbyt niebezpieczne, by prowadzić je w pobliżu tak dużego miasta jak Salt Lake City. Inni wymyślali bardziej absurdalne teorie; twierdzili na przykład, że baza jest wykorzystywana do tajnych badań życia pozaziemskiego – być może dlatego, że Obszar 51 stał się za bardzo atrakcją turystyczną.

Niestety, to ostatnie przypuszczenie zyskało poparcie, gdy grupa naukowców odważyła się zejść głęboko na dno jeziora Mono, by pobrać tam próbki. Byli to astrobiolodzy, powiązani z Narodowym Centrum Nauki i Technologii Kosmicznej NASA.

To, czego szukali, niewiele miało jednak wspólnego z cywilizacją

pozaziemską – było bardzo ziemskie. Jennie udało się porozmawiać krótko w Bodie Mike's z jednym z naukowców, doktorem Kendallem Hessem, jowialnym szpakowatym biologiem. Wyglądało na to, że każdy, kto przyjeżdżał nad jezioro Mono, wpadał co najmniej raz na obiad do tej knajpki. Opowiedział jej przy kawie o zainteresowaniu jego zespołu ekstremofilami z jeziora, rzadkimi gatunkami bakterii, które żyją w toksycznych i nieprzyjaznych środowiskach.

„Takie badania pozwalają nam lepiej zrozumieć, jak może istnieć życie na innych planetach", wyjaśnił.

Ale już wtedy wyczuwała, że coś ukrywa. Wywnioskowała to z twarzy naukowca, z jego powściągliwości i podekscytowania.

Nie była to zresztą pierwsza tajna baza wojskowa założona nad jeziorem Mono. W czasach zimnej wojny rząd zbudował w tym rejonie kilka oddalonych od świata obiektów do testowania broni i prowadzenia różnych projektów badawczych. Nawet najsłynniejsza plaża jeziora – Navy Beach – zawdzięczała swą nazwę dawnemu kompleksowi, wzniesionemu kiedyś na jego południowym brzegu.

Co więc znaczyło jedno więcej tajne laboratorium?

Po kilku minutach jazdy po wertepach Jennie zauważyła ogrodzenie przecinające wzgórza. Chwilę później reflektory oświetliły znak przy drodze, wypłowiały i podziurawiony pociskami.

DROGA BEZ PRZEJAZDU
WSTĘP WZBRONIONY
WŁASNOŚĆ RZĄDOWA

W tym miejscu blokowała zwykle drogę brama, teraz była jednak otwarta. Pełna podejrzeń Jenna zwolniła i zatrzymała pick-upa przy wjeździe. Słońce zniknęło już za wzgórzami i rozległe łąki okrył zmierzch.

– Co sądzisz, Nikko? Chyba nie łamiemy prawa, skoro zostawili otwartą bramę, prawda?